



JOËL DICKER

PRAWDA O SPRAWIE
HARRY'EGO
QUEBERTA

Obejrzyj serial na **showmax**

Dzień zniknięcia

(sobota, 30 sierpnia 1975)

— Tu centrala policji, w jakiej sprawie pani dzwoni?

— Halo? Nazywam się Deborah Cooper, mieszkam przy Side Creek Lane w Aurorze. Wydaje mi się, że przed chwilą widziałam, jak jakiś mężczyzna gonił w lesie dziewczynę.

— Co dokładnie się wydarzyło?

— Nie wiem! Stałam w oknie, patrzyłam akurat w stronę lasu i tam właśnie zobaczyłam dziewczynę, która biegła między drzewami... A za nią biegł jakiś mężczyzna... Wydaje mi się, że próbowała przed nim uciec.

— I gdzie są teraz?

— Już... już ich nie widzę. Są gdzieś w lesie.

— Natychmiast wysyłam do pani patrol.

Tak zaczęła się sprawa, która wstrząsnęła Aurorą, miasteczkiem w stanie New Hampshire. Tego właśnie dnia zniknęła mieszkająca tu piętnastoletnia Nola Kellergan. Wszelki ślad na zawsze po niej zaginął.

PROLOG

Październik 2008

(trzydzieści trzy lata od zniknięcia)

Wszyscy mówili o mojej książce. Nie mogłem już spokojnie chodzić ulicami Nowego Jorku, nie mogłem uprawiać joggingu, biegając alejkami Central Parku, żeby jacyś spacerowicze mnie nie rozpoznali i nie krzyknęli: „Ej, ty, popatrz, to Goldman! To ten pisarz!”. Zdarzało się nawet, że niektórzy przyłączali się i biegli razem ze mną, żeby zadawać mi pytania, które ich dręczyły: „Czy to, co pan pisze w tej książce, to prawda? Harry Quebert naprawdę to zrobił?”. W kafejce w West Village, gdzie często bywałem, niektórzy klienci bezceremonialnie przysiadali się do mojego stolika, żeby do mnie zagadać: „Właśnie czytam pana książkę, panie Goldman, i nie mogę się od niej oderwać! Już pierwsza była świetna, ale ta druga to dopiero coś! Naprawdę zapłacili panu za nią milion dolarów? A ile właściwie ma pan lat? Niecałe trzydzieści? Trzydzieści lat! I już udało się panu zgarnąć taką niesamowitą kasę!”. Nawet portier w moim domu, który — co zauważyłem — odrywał się od lektury tej książki tylko po to, żeby otworzyć drzwi, kiedy już ją wreszcie przeczytał, w końcu dopadł mnie na dłużej przed wejściem do windy, żeby mi zdradzić, co mu leży na sercu: „No i widzi pan, co się stało z tą Nolą Kellergan? Co za potworność! Ale jak coś takiego mogło się zdarzyć? Hę? Panie Goldman, no jak to w ogóle możliwe?”.

Cała nowojorska śmietanka zachwycała się moją powieścią; ukazała się zaledwie przed dwoma tygodniami, a już zapowiadała

się na najlepiej sprzedającą się książkę roku na amerykańskim kontynencie. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, co też wydarzyło się w Aurorze w 1975 roku. Mówiono o tym dosłownie wszędzie: w telewizji, w radiu, w gazetach. Miałem niecałe trzydzieści lat, a dzięki tej książce, dopiero drugiej w mojej karierze, stałem się najbardziej znanym pisarzem w kraju.

Historia, która wstrząsnęła Ameryką i stanowiła kanwę mojej opowieści, rozpoczęła się kilka miesięcy wcześniej, gdzieś na początku lata, po znalezieniu zwłok dziewczyny zaginionej przed trzydziestoma trzema laty. Taki właśnie był początek tego, co wydarzyło się w New Hampshire, historii, którą tutaj opiszę i bez której małe miasteczko o nazwie Aurora z pewnością pozostałoby nieznane dla reszty Ameryki.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Choroba pisarzy

(osiem miesięcy przed ukazaniem się książki)

W otchłani pamięci

„Najważniejszy, Marcusie, jest pierwszy rozdział. Jeśli nie spodoba się czytelnikom, nie przeczytają dalszego ciągu twojej książki. Od czego zamierzasz zacząć?

— Nie wiem, Harry. Myślisz, że kiedyś mi się uda?

— Ale co takiego?

— Że uda mi się napisać książkę.

— Jestem tego pewien”.

Na początku 2008 roku, a więc jakieś półtora roku po tym, gdy dzięki mojej pierwszej powieści stałem się nowym ulubieńcem amerykańskiego światka literackiego, nagle dopadł mnie potworny kryzys w postaci czystej kartki, syndrom, który podobno nie jest niczym wyjątkowym u pisarzy odnoszących nagły i ogromny sukces. Choroba nie pojawiła się jednak znienacka, zapadałem na nią bowiem dosyć powoli. Czułem, jakby dotknięty nią mój mózg powolutku zastygał. Kiedy pojawiły się pierwsze symptomy, starałem się w ogóle nie zwracać na nie uwagi: powtarzałem sobie, że natchnienie nadejdzie jutro albo pojutrze, albo być może za trzy dni. Tymczasem dni, tygodnie i miesiące mijały, a natchnienie jakoś się nie pojawiało.

Moje zejście do piekieł można było podzielić na trzy fazy. Pierwsza, warunkująca upadek z dużej wysokości, polegała na oszałamiającym wzlocie: moja debiutancka powieść sprzedawała się w dwóch milionach egzemplarzy, wynosząc mnie w wieku zaledwie dwudziestu ośmiu lat do rangi pisarza, który odniósł sukces. Stało się to jesienią 2006 roku, a w ciągu kilku tygodni moje nazwisko stało się „nazwiskiem”, co się zowie; można mnie było zobaczyć wszędzie, w telewizji, gazetach, na okładkach pism. Moja twarz pojawiała się na ogromnych billboardach reklamowych na stacjach metra. Najsurowsi krytycy z wielkich dzienników na Wschodnim Wybrzeżu byli zgodni: młody Marcus Goldman będzie bez wątpienia wielkim pisarzem.

Jedna jedyna książka i w jednej chwili otwarły się przede mną wrota do nowego życia, do życia młodych gwiazd milionerów. Wyprowadziłem się od rodziców, którzy mieszkali w Montclair w stanie New Jersey, i zamieszkałem w luksusowym apartamencie w Village, zamieniłem swojego forda z trzeciej ręki na nowiutkiego, czarnego i bijącego po oczach rangerovera z przyciemnianymi szybami, zacząłem bywać w ekskluzywnych restauracjach, dorobiłem się agenta literackiego, który stał się panem mojego czasu i przychodził oglądać ze mną mecze baseballu na gigantycznym ekranie w moim nowym mieszkaniu. Wynająłem biuro zaledwie dwa kroki od Central Parku, sekretarka o imieniu Denise, która trochę się we mnie podkochiwała, przeglądała moją pocztę, przygotowywała kawę i segregowała ważne dokumenty.

Przez pierwszych sześć miesięcy po ukazaniu się książki ograniczałem się do korzystania ze słodkich uroków mojej nowej egzystencji. Rankiem wpadałem do biura, żeby zapoznać się naprędce z ewentualnymi artykułami na mój temat i przeczytać napływające codziennie dziesiątki listów od wielbicieli, które następnie Denise wkładała do opasłych segregatorów. Potem, bardzo z siebie zadowolony, uznawszy, że dość się już napracowałem, szedłem pospacerować sobie bez celu ulicami Manhattanu, gdzie przechodnie na mój widok ściszały głos i coś tam do siebie szeptały. Resztę dnia poświęcałem na korzystanie z nowych praw, jakie dawała mi sława; mogłem teraz kupować to, na co tylko przyszła mi ochota, miałem prawo oglądać mecze Rangersów z VIP-owskiej łoży w Madison Square Garden, miałem prawo stąpać po czerwonym dywanie razem z gwiazdami muzyki, których płyty kupowałem, gdy byłem młody, miałem prawo pokazywać się w towarzystwie Lydii Gloor, będącej wtedy na topie gwiazdki telewizyjnego serialu, którą wszyscy sobie w tym czasie wyrwali. Byłem więc słynnym pisarzem i miałem wrażenie, że wykonuję najwspanialszy zawód na świecie. Świecie przekonany, że mój sukces trwać będzie wiecznie, nie przejąłem się pierwszymi ostrzeżeniami mojego agenta i wydawcy, którzy naciskali, żebym zabrał się znowu do pracy i zaczął wreszcie pisać drugą powieść.

W ciągu następnych sześciu miesięcy zdałem sobie sprawę, że

kierunek wiatru jakby się odrobinę zmieniał: listy od wielbicieli przychodziły rzadziej, a i na ulicach zaczepiano mnie trochę mniej. Po jakimś czasie ci, którzy mnie jeszcze rozpoznawali, zaczęli zadawać pytanie: „Panie Goldman, o czym będzie pana następna książka? I kiedy się ukaże?”. Zrozumiałem wtedy, że trzeba się zabrać do roboty, no i się zabrałem; notowałem pomysły na luźnych kartkach i napisałem nawet konspekt na komputerze. Ale nie było to dobre. Przychodziły mi do głowy inne pomysły i pisałem kolejne konspekty, jednak wciąż nie byłem z nich zadowolony. W końcu kupiłem sobie nowy komputer w nadziei, że sprzedają go już z dobrymi pomysłami i świetnymi konspektami. Wszystko na próżno. A potem próbowałem zastosować jeszcze inną metodę: zamykałem się z Denise w biurze do późnych godzin nocnych i dyktowałem jej to, co wydawało mi się wspianiałymi zdaniami, trafnymi sformułowaniami i wyjątkowym początkiem powieści. Jednak następnego dnia uznawałem, że słowa te są płaskie, zdania beznadziejne, a każdy z początków mojej przyszłej książki to klęska. Wchodziłem w drugą fazę choroby.

Jesienią 2007 roku minął rok od ukazania się mojej pierwszej powieści, a ja wciąż nie napisałem choćby jednej linijki następnej. Kiedy przestały przychodzić listy, które można by było włożyć do segregatora, kiedy w miejscach publicznych już mnie nie rozpoznawano, a z wielkich księgarni na Broadwayu zniknęły plakaty z moją podobizną, zrozumiałem, że sława jest ulotna. Jest jak żarłoczna gorgona, miejsce tych, którzy nie są w stanie jej żywić, szybko zajmują następcy: a to popularni w danej chwili politycy, a to jakaś gwiazdka z ostatniego reality show, a to znowu grupa rockowa, która akurat wspięła się na sam szczyt, skupiając na sobie tę część uwagi, jaką dawniej poświęcano mnie. A przecież minęło zaledwie dwanaście miesięcy od dnia, kiedy wydano moją książkę; ten czas wydał mi się śmiesznie krótki, ale w skali całej ludzkości oznaczał wieczność. Przez ten rok w samej tylko Ameryce urodziło się milion dzieci, milion ludzi zmarło, ofiarą strzelaniny padło najmnij kilkadziesiąt tysięcy, jakieś pół miliona pograżyło się w narkomanii, kolejny milion stał się milionerami, siedemnaście milionów zmieniło telefon

komórkowy, pięćdziesiąt tysięcy zginęło w wypadkach samochodowych, a dwa miliony doznało w ich wyniku mniej lub bardziej poważnych obrażeń. Ja natomiast napisałem tylko jedną, jedyną książkę.

Schmid & Hanson, ogromne nowojorskie wydawnictwo, które zapłaciło mi milutką sumkę za pierwszą powieść i pokładało we mnie ogromne nadzieje, zadreęczało teraz mojego agenta Douglasa Clarena, a ten z kolei zadreęczał mnie. Powtarzał, że czas nas goni, że muszę koniecznie oddać nowy tekst, a ja starałem się go uspokoić, aby uspokoić też samego siebie. Przekonywałem więc Douglasa, że praca nad drugą powieścią posuwa się bez przeszkód i nie powinien się w ogóle tym martwić. Jednak pomimo zamykania się na długie godziny w biurze nadal leżały przede mną puste kartki; natchnienie odeszło bez żadnego ostrzeżenia i za nic nie chciało wrócić. Gdy wieczorem leżałem w łóżku i nie byłem w stanie zasnąć, myślałem sobie, że już niebawem, zanim dożyję trzydziestki, wielki Marcus Goldman przestanie istnieć. Ta myśl tak bardzo mnie przeraziła, że postanowiłem zafundować sobie wakacje, aby przewietrzyć trochę głowę; cały miesiąc przesiedziałem w pałacu w Miami, niby po to, by naładować akumulatory, święcie przekonany, iż odpoczynek pod palmami pozwoli mi odzyskać pełnię władz nad geniuszem twórczym. Jednak Floryda była oczywiście tylko cudowną próbą ucieczki, przecież już jakieś dwa tysiące lat przede mną filozof Seneka doświadczył tego przykrego stanu: gdziekolwiek by człowiek uciekł, jego problemy same wpraszą się do walizek i wszędzie za nim podążają. Zupełnie tak, jakby zaraz po moim przybyciu do Miami dogonił mnie tuż za bramą lotniska przemiły kubański bagażowy i zapytał:

— Czy pan Goldman?

— Tak.

— W takim razie to należy do pana.

I podałyby mi kopertę z grubym plikiem kartek w środku.

— Czy to są moje czyste kartki?

— Tak, panie Goldman. Przecież nie mógłby pan wyjechać z Nowego Jorku, nie zabierając ich ze sobą.

No cóż, spędziłem miesiąc na Florydzie całkiem sam, zamknięty

w apartamencie z moimi demonami, żaloszny i przybity. Na włączonym bez przerwy, w dzień i w nocy, komputerze plik, który zatytułowałem *nowa-powiesc.doc*, pozostawał rozpaczliwie nietknięty. To, że dopadła mnie bardzo rozpowszechniona w kręgach artystycznych choroba, zrozumiałem tego wieczoru, gdy postawiłem margaritę hotelowemu pianiście. Kiedy siedzieliśmy tak sobie za barem, opowiedział mi, że przez całe życie napisał tylko jedną piosenkę, ale okazała się absolutnie nieprawdopodobnym hitem. Odniosła tak wielki sukces, że już nigdy więcej nie był w stanie napisać niczego innego, a teraz wegetował, zrujnowany i nieszczęśliwy, brzdąkając na pianinie kawałki innych kompozytorów dla hotelowych gości. „Bo wie pan, w tamtym czasie zaliczałem takie trasy, że głowa boli. Występowałem w największych salach w Ameryce — powiedział, wczepiając się w kołnierzyk mojej koszuli. — Dziesięć tysięcy ludzi skandowało moje imię, panienki mdlały, a inne rzucały mi swoje majtki. To było coś!”. A potem, kiedy zlizął jak psiak sól z brzegu szklanki, dodał jeszcze: „Przysięgam, że to prawda”. Dobrze wiedziałem, że to prawda, i właśnie to było najgorsze.

Trzecia faza moich nieszczęść zaczęła się z chwilą, gdy wróciłem do Nowego Jorku. Już w samolocie lecącym z Miami przeczytałem artykuł o młodym autorze, który dopiero co wydał powieść namaszczoną przez krytyków, a gdy wylądowałem na lotnisku LaGuardia, ujrzałem jego twarz na ogromnych plakatach w sali, gdzie odbiera się bagaże. Życie mocno się ze mnie nabijało: nie dość, że zostałem całkiem zapomniany, to jeszcze, co gorsza, postanowiono znaleźć na moje miejsce kogoś innego. Douglas, który przyjechał odebrać mnie z lotniska, był w stanie wyraźnie histerycznym: wydawnictwo Schmid & Hanson, u kresu wytrzymałości, chciało jakiegoś dowodu, że praca posuwa się naprzód i że już wkrótce będę w stanie oddać mu nowy, gotowy tekst.

— Jest naprawdę niedobrze — oznajmił, wioząc mnie samochodem na Manhattan. — Powiedz mi, proszę, że Floryda postawiła cię na nogi i że już prawie skończyłeś książkę! Wiesz, jest taki facet, o którym wszyscy teraz mówią... Jego książka ma być bożonarodzeniowym hitem. A ty, Marcusie? Co będziesz

miął na Boże Narodzenie?

— Zaraz się do tego zabiorę! — krzyknąłem spanikowany.
— Uda mi się! Zrobimy wielką kampanię reklamową i wszystko będzie dobrze! Ci, którym spodobała się pierwsza książka, polubią też następną!

— Marc, ty chyba nic nie rozumiesz: tak można było myśleć jeszcze kilka miesięcy temu. Cała strategia polegała na tym, żeby popłynąć na fali sukcesu, zaspokoić czytelników i dać im to, czego oczekują. Publiczność chciała Marcusa Goldmana, ale skoro Marcus Goldman pojechał sobie na wywczasy na Florydę, to i czytelnicy poszli kupić inną książkę. Chyba uczyłeś się trochę ekonomii, Marc, nie? Książki stały się produktem wymiany handlowej. Ludzie potrzebują takiej, która im się spodoba, przy której się odprężą, rozerwą. A jeśli ty im jej nie dasz, zrobi to twój sąsiad, a ty będziesz się nadawać najwyżej na śmietnik.

Przerażony gromami rzucanymi przez Douglasa, zabrałem się do pracy jak nigdy dotąd: zaczynałem pisać już o szóstej rano i nie kończyłem nigdy przed dziewiątą czy dziesiątą wieczorem. Spędzałem całe dnie w biurze, pisząc bez przerwy. Niesiony frenetycznym zrywem rozpaczy, starałem się układać słowa, wiązać ze sobą zdania i mnożyć pomysły na powieść. Z przygnębieniem jednak stwierdzałem, że nic sensownego z tego nie wynika. Denise przez cały ten czas zamartwiała się moim stanem. A że nie miała już nic innego do roboty — żadnych dyktand, żadnych listów do segregowania, żadnej kawy do parzenia — chodziła po korytarzu tam i z powrotem. Kiedy nie była już w stanie tego dłużej wytrzymać, łomotała do moich drzwi.

— Błagam pana, Marcusie, proszę mi otworzyć! — jęczała.
— Proszę wyjść wreszcie z biura, niech pan pospaceruje przez chwilę w parku. Nic pan przecież dzisiaj jeszcze nie jadł!

A ja wrzeszczałem w odpowiedzi:

— Nie jestem głodny! Nie jestem głodny! Nie ma książki, nie będzie jedzenia!

Ona zaś z trudem powstrzymywała się od płaczu.

— Niech pan nie mówi takich okropności. Pójdę zaraz do delikatesów na rogu ulicy i przyniosę panu kanapki z rostbefem, te pana ulubione. Już biegnę! Już lecę!

Słyszałem, jak bierze torebkę i biegnie do drzwi wejściowych, żeby popędzić na dół po schodach, tak jakby ten cały pośpiech miał cokolwiek zmienić w mojej sytuacji. Wreszcie bowiem pojąłem rozmiary zła, które mnie dotknęło: napisać książkę, startując od zera, wydawało mi się czymś prostym, ale teraz, kiedy byłem na szczycie, kiedy musiałem udowodnić, że mam naprawdę talent, i powtórzyć wycieńczającą drogę do sukcesu, jakim jest napisanie dobrej powieści, czułem, że nie jestem już do tego zdolny. Trawiła mnie choroba pisarzy i nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc; ci, którym o tym mówiłem, odpowiadali, że to pryszcz i że pewnie często się to zdarza, i że nawet jeśli nie napiszę książki teraz, zrobię to jutro. Próbowiałem przez całe dwa dni napisać coś w moim dawnym pokoju w domu rodziców, w Montclair, tam, gdzie przecież znalazłem natchnienie do mojej pierwszej powieści. Ale i ta próba zakończyła się totalną klapą, w czym zapewne miała udział i moja matka, bo przez te dwa dni siedziała cały czas tuż obok mnie, wpatrując się w ekran mojego laptopa i powtarzając bez końca: „Jest bardzo dobrze, Markie”.

— Mamo, ale ja nie napisałem nawet jednej linijki — powiedziałem w końcu.

— Ale ja czuję, że to będzie bardzo dobre.

— Mamo, gdybyś tak może zostawiła mnie samego...

— Dlaczego samego? Boli cię brzuch? Chcesz puścić baka? Możesz to robić w mojej obecności, mój drogi. Jestem przecież twoją matką.

— Nie, nie mam ochoty puszczać baków, mamo.

— To może jesteś głodny? Chcesz może naleśniki? A może zrobisz ci gofry? Albo coś na słono? Może jajka?

— Nie, nie jestem głodny.

— No to dlaczego chcesz, żebym cię zostawiła samego? Próbujesz mi powiedzieć, że obecność kobiety, która dała ci życie, po prostu ci przeszkadza?

— Nie, nie przeszkadzasz mi mamo, tylko że...

— Tylko że co?

— Już nic, mamo.

— Powinieneś znaleźć sobie dziewczynę, Markie. Myślisz, że

nie wiem, że zerwałeś z tą aktorką z telewizji? Jak jej tam było?

— Lydia Gloor. Zresztą tak naprawdę to wcale nie byliśmy ze sobą, mamó. To znaczy, chcę powiedzieć, że to była tylko taka tam sobie przygoda.

— Tylko taka tam sobie przygoda! Tak właśnie teraz jest z wami, młodymi: nic, tylko takie tam sobie przygody, a potem ni stąd, ni zowąd stuka wam pięćdziesiątka i budzicie się łysi i bez rodziny!

— A jaki to ma związek z łysieniem, mamó?

— Nie ma żadnego. Ale czy ty uważasz, że to normalne, bym dowiadywała się z kolorowych pism, że jesteś z tą dziewczuchą? Jaki syn robi coś takiego swojej matce, he? Wyobraź sobie tylko, że tuż przed twoim wyjazdem na Florydę zjawiam się u Scheingetza... tego fryzjera, nie rzeźnika... a tam wszyscy przyglądają mi się tak jakoś dziwnie. Pytam więc, o co chodzi, a na to pani Levey, z głową po trwałej w suszarce, pokazuje mi pismo, które akurat czyta. A tam zdjęcie twoje i tej całej Lydii Gloor zrobione gdzieś na ulicy; jesteście razem, a z tytułu artykułu wynika, że właśnie się rozstaliście. Cały salon fryzjerski wiedział, że zerwaliście, a ja nawet nie miałam pojęcia, że spotykałeś się z tą dziewczyną! Oczywiście, że nie chciałam, żeby wzięli mnie za kompletną idiotkę, więc od razu powiedziałam, że to urocza kobieta i że często przychodziła do nas na kolację.

— Mamó, nie mówiłem ci o niej, bo to nie było nic poważnego. To nie była ta właściwa kobieta, rozumiesz?

— To nigdy nie jest właściwa kobieta. Ty nikogo porządnego nie spotykasz, Markie! W tym problem. Czy ty naprawdę myślisz, że aktorki z telewizji są w stanie prowadzić dom? Wyobraź sobie, że nie dalej jak wczoraj spotkałam w supermarkecie panią Emerson. Jej córka też jest sama. Byłaby dla ciebie idealna. A do tego ma bardzo ładne zęby. Chcesz, żebym jej zaproponowała, by teraz wpadła do nas na chwilę?

— Nie, mamó. Próbuje pracować.

W tym samym momencie usłyszałem dzwonek do drzwi.

— To chyba one — powiedziała matka.

— Jak to: to chyba one?

— No, pani Levey z córką. Powiedziałam im, żeby przyszły

na czwartą na herbatkę. I właśnie jest punkt czwarta. Porządna kobieta to taka, która zjawia się punktualnie. I co, jeszcze się w niej nie zakochałeś?

— Zaprosiłaś je do nas na herbatę? Wywal je stąd, mamol! Nie chcę ich widzieć na oczy! Do ciężkiej cholery, mam przecież pisać książkę! Nie jestem tu po to, żeby siedzieć na pogaduszkach przy podwieczorku, muszę napisać powieść!

— Och, Markie, naprawdę przydałaby ci się jakaś dziewczyna. Dziewczyna, z którą byś się zaręczył i ożenił. Za dużo myślisz o książkach, a za mało o małżeństwie...

Niestety, nikt nie potrafił pojąć powagi sytuacji: musiałem za wszelką cenę napisać nową książkę, choćby tylko po to, żeby wywiązać się z umowy, jaką zawarłem z wydawnictwem. W styczniu 2008 roku Roy Barnaski, wszechmocny dyrektor firmy Schmid & Hanson, wezwał mnie do biura na pięćdziesiątym pierwszym piętrze wieżowca przy Lexington Avenue, żeby brutalnie ustawić mnie do pionu: „No i co, panie Goldman, kiedy wreszcie dostanę pana gotowy tekst? — warknął. — Nasza umowa opiewa na pięć książek, czas zabrać się do roboty, i to szybko! Potrzebne są wyniki, musimy zwiększyć obroty! Spóźnia się pan, nie dotrzymuje terminów! Ze wszystkim się pan spóźnia! Widział pan tego gościa, który wypuścił książkę przed samą Gwiazdką? Zajął pana miejsce w sercu czytelników! Agent twierdzi, że kolejna jego powieść jest już prawie gotowa. A pan? Przez pana tracimy pieniądze! Niech więc się pan otrząśnie i weźmie do roboty. Niech pan zadziwi wszystkich, napisze dobrą książkę i uratuje skórę! Daję panu sześć miesięcy. Daję panu czas do końca czerwca”. Sześć miesięcy na napisanie książki, gdy jestem totalnie zablokowany od prawie półtora roku. Po prostu nie ma takiej możliwości. Co gorsza, narzucając mi ten termin, Barnaski nie raczył poinformować mnie o konsekwencjach, jakie mi grożą, gdybym nie wywiązał się z umowy. Ale tym akurat, jakieś dwa tygodnie później, zajął się Douglas podczas nie wiem już której z rzędu rozmowy w moim mieszkaniu. Powiedział wtedy: „Musisz zacząć pisać, mój drogi, nie możesz się już od tego wymigać. Podpisałeś umowę na pięć książek! Pięć książek! Barnaski jest wściekły i nie chce dłużej czekać...

Powiedział, że daje ci czas do czerwca. A wiesz, co się stanie, jeśli się nie sprężysz? Zerwą z tobą umowę, będą cię ciągać po sądach i wyssą cię aż do szpiku kości. Zabiorą ci całą kasę i będziesz mógł położyć krzyżyk na pięknym życiu, na ślicznym mieszkanku, na włoskich butach i wielkiej furze. Nie zostanie ci nic. Doprowadzą cię do ruiny”. No tak, więc ja, jeszcze rok temu uważany za wschodzącą gwiazdę literatury w tym kraju, teraz stałem się największą beznadzieją, największym ślimakiem rynku wydawniczego Ameryki Północnej. Lekcja numer dwa: sława nie tylko jest ulotna, ale ma także określone konsekwencje. Tego samego wieczoru, po ostrzeżeniu przekazanym mi przez Douglasa, wziąłem do ręki telefon i wystukałem numer jedynej osoby, która — jak sądziłem — mogła mnie jeszcze wybawić z kłopotów. Zadzwoiłem do Harry’ego Queberta, mojego dawnego wykładowcy, a przede wszystkim jednego z najbardziej poczytnych i szanowanych autorów w Ameryce, z którym byłem blisko związany od dziesięciu już lat, od czasu gdy chodziłem na jego wykłady na uniwersytecie w Burrows w stanie Massachusetts.

Minął jednak już ponad rok od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni, i chyba równie długo nie rozmawiałem z nim przez telefon. Zadzwoiłem pod jego domowy numer do Aurory w New Hampshire. Słyszac mój głos, odpowiedział z lekką ironią:

— Och, Marcusie! Czy to naprawdę ty do mnie dzwonisz? Niewiarygodne. Odkąd stałeś się wielką gwiazdą, nie odzywasz się. Próbowałem nawet dodzwonić się do ciebie miesiąc temu, ale odebrała twoja sekretarka, która powiedziała mi, że nie ma cię dla nikogo.

— Jest bardzo kiepsko, Harry — przyznałem się bez ogródek.
— Myślę, że już nie jestem pisarzem.

Natychmiast spowaźniał.

— Co też mi tutaj opowiadasz?

— Nie wiem kompletnie, o czym mam pisać, jestem skończony. Pusta kartka. I to od długich miesięcy. Może nawet już od roku.

Wybuchnął uspokajającym i serdecznym śmiechem.

— Blokada psychiczna, Marcusie, w tym sęk! Czyste kartki są równie idiotyczne jak niesprawność seksualna spowodowana chęcią bicia rekordów: to panika, która dopada geniusza, ta sama,

która sprawia, że członek smętnie zwisa, kiedy akurat szykujesz się, aby zrobić nadzwyczaj dobrze jednej ze swoich fanek, i myślisz, że doprowadzisz ją do orgazmu, który mierzyłoby się w skali Richtera. Nie przejmuj się geniuszem, tylko musisz się zadowolić zapisywaniem słów po kolei, jedno za drugim. Geniusz sam się pojawi w sposób całkiem naturalny.

— Tak myślisz?

— Jestem tego pewny. Powinieneś też odpuścić sobie co nieco te wystawne wieczorne imprezy i te wszystkie atrakcje. Pisanie jest poważnym zajęciem. Myślałem, że udało mi się tego cię nauczyć.

— Ale ja bardzo ciężko pracuję! I nic innego nie robię! Tyle że kompletnie nic to nie daje.

— No to w takim razie brakuje ci odpowiedniego otoczenia. Nowy Jork to bardzo ładne miasto, ale jest tam zdecydowanie za głośno. Może przyjechałbyś do mnie, tak jak w czasach, gdy byłeś moim studentem?

Wyjechać z Nowego Jorku i zmienić powietrze. Nigdy dotąd zaproszenie do ucieczki nie wydało mi się bardziej rozsądne. Wyruszyć, żeby znaleźć natchnienie do nowej książki gdzieś na dalekiej amerykańskiej prowincji — właśnie tego potrzebowałem. Tak więc tydzień później, w połowie lutego 2008 roku, pojechałem do Aurory w New Hampshire. Było to na kilka miesięcy przed dramatycznymi wydarzeniami, o których będę chciał opowiedzieć.



Zanim ta sprawa latem 2008 roku wstrząsnęła Ameryką, nikt w ogóle nie słyszał o Aurorze. To mała miejscina nad brzegiem oceanu, jakiś kwadrans drogi od granicy z Massachusetts. Na głównej ulicy mieści się kino — którego program ma zawsze spore opóźnienie w stosunku do reszty kraju — kilka sklepów, poczta, posterunek policji i parę restauracji, w tym najbardziej znana Clark's. Wokół są tylko spokojne dzielnice; domy, otoczone ogródkami o nienagannie przystrzyżonych trawnikach mają ściany obite kolorowymi deskami. To Ameryka w Ameryce, gdzie mieszkańcy nie zamykają domów na klucz; to jedno z tych miejsc, jakie istnieją tylko w Nowej Anglii, tak spokojne, że wydaje się,

iż absolutnie nic nam nie grozi.

Dobrze znałem Aurorę, bo często odwiedzałem tam Harry'ego, kiedy jeszcze byłem jego studentem. Mieszkał we wspaniałym domu z kamienia i sosnowych bali, stojącym poza miastem, przy drodze numer jeden w stronę Maine, nad niewielką cieśniną zaznaczoną na mapach pod nazwą Goose Cove. Wznosił się nad oceanem i miał taras na słoneczne dni, z którego schody prowadziły bezpośrednio na plażę. Wokół dzika okolica, tylko spokój i cisza: nadbrzeżny las, zwały otoczeków i wielkich kamieni, wilgotne kępy paproci i mchu i kilka spacerowych alejek wzdłuż brzegu morza. Chwilami, gdyby nie świadomość, że cywilizacja odległa jest zaledwie o kilka kilometrów, mogło się wydawać, że to koniec świata. Łatwo też było sobie wyobrazić starego pisarza tworzącego na tarasie arcydzieła, dla których natchnieniem są przypiły morza i zachody słońca.

Dziesiątego lutego 2008 roku zostawiłem Nowy Jork w zenicie kryzysu czystej kartki. W kraju tymczasem aż wrzało przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi: kilka dni wcześniej Wielki Wtorek (który wyjątkowo miał miejsce w lutym zamiast w marcu, co samo w sobie dobitnie świadczyło, że będzie to rok niezwykle) przesądził o nominacji McCaina na kandydata republikanów, gdy w tym samym czasie wśród demokratów toczyła się jeszcze zażarta walka pomiędzy Hilary Clinton i Barackiem Obamą. Całą trasę do Aurory pokonałem samochodem bez żadnego postoju. Zima była śnieżna, a rozwijające się przed moimi oczami pejzaże przepełniała biel. Zawsze lubiłem New Hampshire, lubiłem tamtejszy spokój, lubiłem ogromne lasy, lubiłem stawy pokryte nenufarami, gdzie można było popływać latem, a w zimie pojeździć na łyżwach, podobał mi się też pomysł, że nie płaci się tam podatków lokalnych ani podatku dochodowego. Uważałem, że to libertariański stan i że jego dewiza „Żyj wolny lub zgiń”, wybita na tablicach rejestracyjnych samochodów, które wyprzedzały mnie na autostradzie, doskonale ujmuje to jakże silne poczucie wolności przepełniające mnie w czasie każdego pobytu w Aurorze. Pamiętam zresztą, że kiedy przyjechałem wtedy do Harry'ego wczesnym popołudniem w dzień równie zimny, jak mglisty, natychmiast zawładnęło mną uczucie